№ 15.

Dziennik domowy.

Prózno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1845. Poznań, dnia 21. Lipca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3***, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

W piśmie niniejszém zawsze zalecaliśmy równie pod względem wychowania jak i życia za rzecz najgłówniejszą religią, bo uznajemy, że człowiek jest nietylko istotą rozumną, ale zarazem myślącą i to czy mieléj, czy głębiéj, dosyć że każdy człowiek myślec nieprzestaje, a przy niezmordowaném myśleniu, każdy przychodzi na pytania: zkąd on się wziął, zkąd się wziął ten świat, jeżeli niebył odwiecznie, czemuż naraz powstał, ale jak mógł być odwiecznie, co to jest rzecz bez początku, czy się świat skończy, kiedy się skończy, ale cóż po skończeniu znowu będzie — wszystkie te i bardzo wiele innych pytań ułatwia i rozstrzyga religia. Pytania te są zarazem przedmiotem filozofii i filozofia wykłada je zgodnie lub niezgodnie z religią. Każdy chrześcianin czerpie wiadomości swoje zawsze z religii, a może je rozprzestrzenić filozofią. Filozofia jest to pojęcie tego samego przez rozum, o czém człowiek może nabyć także pojęcia przez religią czyli wiarę, gdy przyjmie bez roztrząsania pewne zasady sobie podane, uznaje je za niemylne i z nich tłumaczy sobie wszystko. Tłumaczenie religijne niechaj będzie jakie chce, dosyć, że panuje na tak szerokiém polu jak i filozoficzne. Filozofia niemoże zostać pospolitą, ale tylko staje się udziałem pewnych wyjątkowych ludzi, a mianowicie tych, którym urodzenie lub inne niezwykłe okoliczności, a wszystkie prawie przypadkowe pozwoliły przebiegać zawód naukowy, i którzy od natury zostali usposobieni do badania głębszego i pojmowania łatwiejszego zawiłych pojęć; religia przeciwnie jest dla wszystkich, jest filozofią pospolitą i ogólną. Z téj przyczyny ludzie religijni, nietylko jednakowo myślą, mówią, ale zarazem jednakowo działają, a przynajmniéj jest między nimi zupełna zgoda, jak działać powinni, to jest, jeżeli nie więcéj, mają przynajmniéj jednakowe przekonanie. Ta jednakowość przekonania pokazuje im cele, nietylko drugiego świata ale i ziemskie, do których dążyć należy i przedstawia ku temu dążeniu pewną ogólną drogę. Dla tego nawet stowarzyszenia państwami nazwane, że polegają téż i na jednakowym sposobie myślenia wszystkich stowarzyszonych, utworzyły się za pomocą religii i przez religie. Nikt nam zarzucić niemoże, abyśmy religii niepojmowali i wysoko niecenili, ale przecież jesteśmy przeciwni, aby badaniami religijnémi zajmowano się po wszystkich wieczorach, aby religią przymierzano do pism drobnych ulotnych; aby zgoła religią miano ciągle w ustach. Obawiamy się bowiem, żeby niepozostała w samych tylko ustach, kiedy jéj siedlisko powinno być w sercu. Dzisiaj jest czas sporów religijnych, jakiego Europa już przeszło lat dwieście nieoglądała — powstają jacyś nowatorowie, którzy przecie do tego czasu nic nowego nie przynoszą, ale źle téż robią i ci, którzy występując przeciw nim, nakłaniają do zajmowania się i roztrząsania wszystkie klassy ludzi głębokiémi przedmiotami religijnemi. My chcielibyśmy, żeby tylko mistrze w religii, to jest teologowie rozprawiali się z nowatorami, a my ludzie świeccy, moglibyśmy się tylko z boku przypatrywać; z tém wszystkiém dzieje się inaczéj; teologia dzisiaj nietylko jest dogmatyczną, spekulatywną, pastoralną, ale tu i owdzie zaczyna być salonową. Poduszczają ją, po zgromadzeniach w celu zabaw zbierających się, ludzie nabożni, ale sądzimy, że jéj złą przez to oddają przysługę. Czy-

tujemy recenzye ulotnych wierszyków, romansów, osądzanych na skalę teologiczną: nam się zdaje, że teologowie najlepiejby zrobili, żeby zamiast czytania takich rzeczy, poświęcali swój czas pismu świętemu, ojcom kościoła, głębokim pisarzom teologicznym, a wszelkie literackie błyszczadła pozostawiali tym co niesą teologami, co się tylko od teologów religii uczyć zwykli. Żeby utrzymać świętość religii, trzeba, aby się teologowie trzymali w społeczeństwie z pewną godnością i powagą: pod tym tylko warunkiem będzie ich zdanie szanowane i może wpływ na ogół wywierać; niech zatém fraszki literackie, zabawy herbatowe, pozostawiają innym ludziom; niech się niestarają na wszystkich stanowiskach swego wpływu wywierać, bo jakby powstała przeciw ich wpływowi oppozycya, toby się téż przez wszystkie stanowiska snadno rozlała.

Każdą myśl zawsze tylko ludzie głębsi należycie i ze wszystkiémi jéj wynikami konsekwentnie przeprowadzają: przy szerzeniu myśli ogólnéj, łączą się zawsze do dzieła i tacy, którzy z drugiémi pracują, rozprawiają, gwarzą tylko, bo niewiedząc właściwie o czém się rzecz toczy, pod trop gonią, zławiają według wyrażeń myśliwskich. Trzeba się wystrzegać tępych i pseudo-teologów, a tych niczém bardziéj się nienamnoży, jak przez zniżanie teologii do stanowisk dla niéj niewłaściwych. Zgoła wszystkim teologom z powołania i teologom ochotnikom udzielamy tę radę, aby się starali ludziom religię wpajać w serca, ale żeby nic niebałamucili rozumowaniami głowy, a czytelnikom pisma naszego, aby sobie byli religijnymi, ale, żeby się niezapuszczali do badań, które jako obce ludziom z powołania pozostawiać należy. Niech pamiętają, że mogliby się stać i szkodliwymi i śmiesznymi, a tém bardziéj ściąga się to wszystko do kobiet, niż mężczyzn.

Gra w Szachy.

POWIEŚĆ WŁOSKA Z SZESNASTEGO WIEKU.

(Ciąg dalszy.)

Pierwszy raz w życiu puścił młodzian wodze podobnym myślom, gdy nagle jak wryty stanął przed dwiema osobami. Jedna z nich starzec czarno ubrany, z zarzuconym szkarłatnym płaszczem, z siwiałym włosem, miał w rysach swych dumę, nie miłe i przenikliwe wejrzenie, coś podobnego w oku do Franciszka Neri. Anastazjo, niebyłby tak uderzony tym widokiem, gdyby nie ujrzał damy obok starca, tak pięknéj, tak uroczéj, jak żadnéj dotąd nie widział. Była to dziewczyna ośmnastoletnia. Na ciemnych puklach włosów zawisł kapelusik z piórami. Bieluteńką szyję osłaniał wysoki kołnierz, z pod którego zwieszał się łańcuch złoty z medalionem na piersi. Krój sukni hiszpański, jak w ówczas moda wymagała.

Anastazjo na ten widok, jakby wzrok utracił. Zdawało mu się, że spojrzał w słońce i promień jego wnikł mu głęboko w serce. Nie wiedząc co robi, porwał za biret i nisko ukłonił się obu, stary z lekka i z zadziwieniem się odkłonił, dziewica spłonęła i z pewną obawą i miłym wdziękiem mu podziękowała. Młodzieniec oniemiał. Po chwili namysłu, postanowił dowiedzieć się gdzie ona mieszka, kto jéj towarzysz. Nieznajomych tłum ludu zakrył, raz poraz jeszcze pokazało się pióro damy, aż na zakręcie z oczu mu znikło. Anastazjo biegł szybkim krokiem za niemi, ale naprożno.

Młodzian czternaście dni bawił w Neapolu. Cały czas prawie przepędził na miejscu, gdzie ujrzał dziewicę, która coś niewygasłego w nim pozostawiła. Spodziewał się przynajmniéj raz jeden ją ujrzeć. Naprożno! Przebiegał ulice, przystań, place, każde piórko na okrągłym kapelusiku wabiło go, ale wszystko naprożno, nie mógł ujrzeć swéj pięknéj. Sprzykrzył mu się wreszcie Neapol. Doktor będąc w dobrym humorze, zawsze mu powiadał, że Rzymianki są najpiękniejsze. Któż mógł być w Neapolu, jeżeli nie najpiękniejsza z pięknych Rzymianek! — Nazajutrz już szedł drogą do odwiecznego miasta.

Doktor Neri wychowańcom swym najwięcéj opowiadał o Rzymie, gdzie długo bawił, Anastazjo dla tego znajdował się tu jak na rodzinnéj ziemi. Oglądał wszystkie osobliwości starego i nowego Rzymu, najbardziéj atoli był ciekawym, czy nie obaczy swéj pięknéj nieznajoméj. Naprożno! Z boleścią nikła jego nadzieja, ale obraz tak pięknéj dziewicy nie zbladł w jego oczach, szczególniejsza jednak okoliczność na chwilę usunęła ją z jego pamięci. Inna osoba zajęła na chwilę całą myśl jego.

Nie była to jedna z tych dawnych rosłych Rzymianek, co połyskują lśniącym włosem, pełną zadziwiają piersią, ale była to maleńka, łysa, krześlata figurka, w któréjbyś naprożno szukał potomka dawnych Scypionów, Horacyuszów i Kuryacyuszów, był to jednem słowem gospodarz oberzy, w któréj od trzech tygodni bawił nasz młodzian. Stało się to następującym sposobem. Skoro tylko przybył Anastazjo do Rzymu, pytał się o najlepszą locandę, wskazano mu ją u Mikołaja Pescatini, z tém jednak ostrzeżeniem, że nad-

zwyczaj droga. Lecz to dla młodego było raczéj ponętą, aniżeli postrachem. „Co drogie, to i dobre! mówił sobie, za taką też poczytywano locandę „pod rybą.“ Mnóstwo młodych Rzymian, co mieli pieniądze do tracenia, bawiło co dzień u niego; Anastazjo tyle tam znajomości pozawierał, tyle tam w paszczy rybiéj znalazł miłych przyjaciół, że czuł wdzięczność dla człowieka, który mu tę locandę pokazał. Anastazjo tyle razy proszony na zabawy w dalekie lub bliskie okolice, czuł się obowiązanym do wywiązania się przyjaciołom za pamięć i zaprosił ich na ucztę, którą Signor Pescatini jak najlepiéj urządził. Nazajutrz zaledwie Anastazjo z łoża powstał, już gospodarz śród grzeczności i ukłonów wślizgnął się do jego komnaty i przepraszał, że tak rano go przebudza. Rzekł: szanowny Signor przebaczy, że przychodzę tu z małym interesikiem. Od dawnych czasów jest zwyczaj „pod rybą“ podawać rachuneczek zwyczajnym gościom co dni osiem, z wyższych stanów zaś co cztery tygodnie. Owoż czynię dziś to samo i dla tego osobiście przychodzę przeprosić za ten zwyczaj uświęcony. Anastazjo wybawił go z kłopotu i prosił o podanie rachunku bez żadnych skrupułów. Po śniadaniu, rzucił młodzian okiem na rachunek, wynosił on okrągłą sumkę pięćdziesiąt cechinów.

Anastazjo przeraził się i przypomniał sobie, że to właśnie połowa pieniędzy z puścizny Nerego. Alić to tylko połowa! Wprawdzie podróż do Syrakuzy, Neapolu także kosztowała, atoli sądził, że mu pieniądze wystarczą. Zagląda do woreczka, aż tu tylko — czterdzieści i dziewięć cekinów.

Tego się nigdy niespodziewał! Zdawało mu się, że się przerachował. Liczy i liczy, ale przy czterdziestu dziewięciu pozostało cekinach. Zbladł jak trup, w oczach zaćmiło mu się. Złoto, stół, izba, wszystko tańczyło na około niego. Głośno westchnął i rzucił się na krzesło z płaczem. Kiedy cokolwiek przyszedł do siebie, zaczął myśleć co tu począć. Rzym opuścić, ani na chwilę nie ulegało wątpliwości. Ale czy z cekinami, czy bez nich? to pytanie. „Nie!“ przemówiła w nim jaźń lepsza. „Raczéj żebrak, aniżeli oszust!“ Ale co począć bez pieniędzy, w drodze między obcymi? „O doktorze, doktorze!“ zawołał, — „bardzoś się omylił! złoto wówczas jest nieszczęściem, kiedy go za mało posiadamy.“

Bądź jak bądź, „error in calculo“ oczywisty, a trudno było naprawić z Franciszkiem Neri, kiedy już umarł, i zabrał tajemnicę ze sobą do grobu. Tymczasem wśród westchnień myślał Anastazjo nad planem i wymyślił. Postanowił 49 cekinów zapłacić gospodarzowi, za jego pomocą niektóre przedać drobiazgi i z resztą ruszyć do Palermo do starego opata uczyć się matematyki i potém — uczyć drugich.

Pierwszém pytaniem było, co mu jest niepotrzebném? Matematyczne instrumenta? Niepodobna, te były potrzebne do nauki. Suknie? stare darował, nowych niepodobna pozbyć. „Odkryłem!“ zawołał uradowany. Oto szachy! bez nich obejdę się. Ozdoby mają u ludzi wartość. Znajdę miłośnika, co da za nie z pięć lub sześć cekinów.

Rozstając się z pamiatką po Nerim, raz jeszcze postanowił obejrzeć szachy i dobył je z futerału. W tém widzi papier, którym brzeg szachownicy był obwinięty, jakby dla ochrony. Lecz za bliższém przypatrzeniem przekonał się, że na nich doktor pokreślił kilkanaście szachownic, z zaznaczonemi stanowiskami gry. Nareszcie wyczytał nieczytelnie napisane zdanie ręką doktora Neri, a brzmiało co dosłownie: „sposób niezawodny, wygrania każdéj partyi w szachy.“

Przypomniał sobie Anastazjo, że często grywał z doktorem, a żadnéj partyi nie wygrał.

Acz nie miał ochoty w téj chwili do gry w szachy, jednak obudziła się w nim ciekawość. Patrzał na rozmaite ciągi ręką doktora zakreślone, które tak grę sprowadzały na jeden szczęśliwy tór, że zanim się przeciwnik spostrzegł już był mat. Gra była rozmaicie zakreśloną na szachownicy, a chociaż zachodziła między nią różnica, trzy lub cztery zaznaczone metody zapewniały zwycięstwo wtajemniczonemu.

Tajemnica ta tak dalece zajęła naszego młodziana, że nad nią nie wiedząc o tém parę przepędził godzin. Nareszcie przypomniało mu się, że czas zaspokić gospodarza, wziął przeto woreczek z westchnieniem, szachownicę pod ramię i zeszedł szybko do gospodarza. Nieprzyjemną była mu tam przytomność dawnych swych znajomych, bo niemógł pomówić z gospodarzem o sprzedaż szachów, dla tego licząc pieniądze zawołał z udaném zadziwieniem:

Do licha! zapomniałem jednego cekina, przyniosę go późniéj, a teraz wam pokażę śliczne szachy, czy kto z panów ma ochotę pograć zemną partyjkę?

W szachy? dodał signor Pescatini, i owszem, służę, aby się szanowny kawaler dopiero nie trudził przyniesieniem cekina, pogramy o niego.

Potrudzi się on podwójnie, rzekł jeden z przytomnych, panie Pescatini jesteś wybornym graczem w szachy.

Anastazio pomyślał sobie, jeden lub dwa cekiny, to już jedno, niech i tak będzie. Grę rospoczęli. Anastazjo pierwszy pociągnął podług metody doktora, stracił kilka chłopków, wkrótce ciąg nadszedł stanowczy, przeciwnik wpadł w matnię i przegrał partyą.

Per Baccho! wołał gospodarz, bijąc się po łysinie, gdy przytomni się śmiali. Tak łatwo mnie złapać, ale daléj, podwajam stawkę i signor zaczynasz grę.

Anastazjo z uwagą posuwa, gra ciągnie się cokolwiek dłużéj, z obu stron żwawość się powiększa, bito z téj i z tamtéj strony, aż nareszcie Anastazjo zawołał

— Szach królowi!

— Mat! Jesteście mat signor Pescatini! zawołało kilka głosów.

Czym z głupiał, czym się upił! rzekł „pesce“ w śmiesznéj wściekłości gospodarz. Gram o sześć stawek kawalerze!

Dobrze! odrzekł Anstazjo, coraz bardziéj nabierając wiary do obrachunku Nerego.

Na nowo rospoczęła się walka. Z wielką ostrożnością posuwano, z uwagą natężoną chwil kilka zatrzymywano się i długo gra była wątpliwą, bo Pescatini był nielada gracz w szachy. Lecz Anastazjo poświęciwszy kilka figur, zadał cios śmiertelny i zawołał:

— Szach królowi i królowéj! Jeszcze parę razy pociągniono i już Pescatini na nowo był zamatowany.

Ależ przechodzi to wszelkie wyobrażenie, zawołał gospodarz, bijąc z wściekłością w stół. Signor pozwoli zagrać o resztę tych dwudziestu czterech cekinów?

Dla czego nie, i owszem, odrzekł Anastazjo śmiało.

Gospodarz posunął złoto na środek stołu i gra się rospoczęła. Trwała dłużéj, aniżeli poprzedzające, Pescatini wystrzegał się widocznie przed dawniejszemi kombinacyami, ale nie wyszło kilka minut, kiedy go Anastazjo zamatował.

Przytomni grze śmiali się serdecznie, gospodarz, milcząc przechodził się po sali. Inny z obecnych siadł do gry, Anastazio zawsze wygrywał a wróciwszy do siebie policzył zysk, było dziewięćdziesiąt cekinów we woreczku.

Nie mógł oka z radości zmrużyć w téj nocy. Wydobył się z biedy, napojony roskoszą, siadł znowu do nakreśleń Nerego i tak się przejął jego metodą, że śmiało z każdym mógł się puścić w zawody.

Tak dumającego zastał gospodarz, który wszedł do jego pokoju, mając w twarzy coś tajemniczego i ciekawego.

Szanowny Signor, odezwał się on, przebaczy, że przychodzę do niego z ważną rzeczą. Tyczy się ona nas obu i zapowiada nam obustronne korzyści. Niech mi wolno naprzód zapytać, czy Signor jest, „podróżującym mistrzem sztuki królewskiéj.“

Wyznam, że pana nie rozumiem, odrzekł Neri.

Czy być może, w rzeczy saméj, mnie Signor nie rozumiesz, a to niepodobna! Viva Signor Anastazjo! Jesteś podróżującym mistrzem i żartujesz ze mnie biedaka.

Nie rozumiem cię panie gospodarzu, gadasz do mnie po żydowsku albo po grecku. Signor miłośnikiem téj sztuki? Czy podobna, taka biegłość! Jesteś Signor dzieckiem szczęścia i ja przy nim, jeżeli usłuchasz mojój rady. W tych czasach nic nie prowadzi wcześniej do sławy i bogactw, jak ta sztuka królewska szachów. Cóż jest śpiew i inna muzyka w porównaniu dziś z szachami, w którą grają książęta i pany, ubiegając się o sławę, mistrza w téj sztuce.

Cesarz Karól V., Don Juan d'Austria, sama nawet świątobliwość dziś nam panujący Paweł trzeci lubią tę grę, podziwiają i przyjmują podróżujących mistrzów téj sztuki z wielkiém wyszczególnieniem.

Czy tak jest w rzeczy saméj? pytał Anastazjo zdziwiony. Dotąd grałem tylko w szachy dla rozrywki.

A jednak doprowadziłeś do takiego mistrzostwa! zawołał gospodarz. Wyśmienity gracz w szachy jest podziśdzień więcéj cenionym mistrzem aniżeli wirtuozy i artyści. Cały świat chce ich poznać, ich widzieć. Książęta powołują ich na swoje dwory, grają z nimi i uważają się za szczęśliwych, kiedy ich mistrze zgrywają. Dla tego posłuchaj Signor mojéj rady. Jutro ogłoszę w Rzymie, że w moim szczęśliwym domu znajduje się sławny i powszechnie znany podróżujący mistrz królewskiéj gry w szachy.

Powszechnie znany? przerwał Anastazjo. Mnie nikt nie zna.

Nic to nie szkodzi! Co nie jest, to będzie, odparł gospodarz. A więc powszechnie znany mistrz szachów, nazwiskiem, — ale jak się Signor nazywasz?

Anastasio. — Nie przypominam sobie ojcowskiego miana, byłem dzieckiem, kiedy go utraciłem, zdaje mi się, że się nazywał Bovi albo Boi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przegląd dzieł George Sand.

(Ciąg dalszy.)

Jak Faust i Manfred, którzy niemogąc dosięgnąć nieskończoności myśli boskiéj, uczuli próżnią koło siebie, tak i Lelia ją uczuła, szukając nadaremnie nieskończonéj miłości. Jéj cierpienia przewyższają męki

Tantala, tego pogańskiego potępieńca, który ustami dotykał pokarmów, czary napoju, a pożyć ich nie mógł. Lecz jego cierpienia były zmysłowe, a ona — ona cierpi wiecznem pragnieniem serca, żyje wśród ludzi stworzonych do umiłowania się wspólnego, widzi, słyszy ich, lecz nigdzie promyka tego boskiego światła! Lelia stanęła martwa przerażeniem i niewiarą, i Lelia obróciła się ku nam z obliczem skeptyka niewiasty. I ta nakoniec zwątpiła o miłości, o miłości, której się od dawna mężczyzna wyparł. Na to słowo: „kobieta bez miłości,“ zdaje się, iż już nie masz dla świata zbawienia — i taka kobieta zdaje się istotą najnędzniejszą, najniżéj upadłą. Ale Lelia nią nie jest, bo samo pragnienie tego uczucia, ten tajemniczy związek między wolą i miłością, jest już samą miłością. Nadaremnie woła, że niemasz miłości, ogłasza jéj niepodobieństwo, a właśnie w tych słowach ją powołuje, bo w nich wybija żal za tém uczuciem.

Lelia jest przejściem autorki z jednego przekonania do drugiego, z wiary umierającéj w sercu do wiary rodzącéj się, musiała więc zgłębić przepaść wątpliwości. Ale kiedy w nią zajrzała, już promień światła jéj dno rozjaśniał, na usta wybiegały słowa skeptyka, kiedy w sercu nastrajały się akorda do hymnu nowéj wiary. Lelia jest przepowiednią Spirydiona.

Widzimy ją téż zwolna chylącą się ku Bogu, ku wierze, gdyż jak skeptycyzm ośmnastego wieku prowadził wprost do ateizmu, tak Lelii do wiary; bo jak żądać dosięgnięcia nieskończoności myśli bożéj, było to chcieć wyzuć się z natury człowieka i stać się samym Bogiem, tak pragnienie miłości nieskończonéj nie jest niepodobieństwem, nie jest pokuszeniem się do wydzierania Bogu przymiotów jemu tylko właściwych, gdyż serce człowieka nie ma granic.

Jakbyśmy się sami zaledwie poznali w portrecie, choćby nas najlepiéj trafiono, pókiby nam ktoś drugi o tém nie powiedział, tak i dzieło rzadko zrozumiane przez ludzi, których żywo maluje — przez generacyą, któréj najboleśniejsze strony odsłania. Taki los spotkał Lelią. Napisana wśród cierpień, których jest obrazem, a zrodziły ją żal i rozpacz niezadowolonéj czułości, któréj autorka w swéj duszy jeszcze tłumić nie umiała. Jéj serce tak się zakrwawiało każdą nowo dostrzeżoną nędzotą społeczeństwa, iż nie mogła myśli utrzymać silnie, niezachwianie, aby nieść pomoc i radę tym boleściom; umiała tylko ręce łamać, spoglądać wzrokiem konwulsyjnym w około, i jęcząc złorzeczyć. Nic więc dziwnego, jeżeli pojedyńcze rysy tego obrazu są nieraz nakréślone na olbrzymią skalę i dla niegłębokiego czytelnika zdają się nadzwyczajnemi. Ale poeta, który całość objął swoim duchem, a musi ją rozdrabniać, rozdzielać na myśli, na słowa, tworząc taki obraz, robi go tylko słabém odbiciem tego, co czuje. Chcąc więc zrozumieć ducha artysty, pojąć jego natchnienie, potrzeba się oderwać od powierzchownych rysów, odchylić zasłonę rzeczywistości. Nie postępowanie osób wprowadzonych w powieść, tworzy moralność lub niemoralność dzieła, lecz dążenie rozwijanych w niém myśli, natchnienie, które w niém wieje.

Jeżelibyśmy Lelią pojęli jako prosty romans, wtedy niezawodnie byłby potwornym. Ale posłuchajmy, co sama autorka o nim mówi: *) „Ci co cierpią tą samą boleścią, słuchali jéj jako skargi wśród gorączki i łkania, przerywanéj żałosnym śmiechem i przekleństwem; ci ją zrozumieli i ukochali bez pochwalenia jéj jednak. I oni tak myślą jak ja myślę: że to jest okropny krokodyl, serce ukazane w całéj nagości, boki tryskające krwią — przedmiot odrazy i litości.“

I w istocie, kto pojmie te wymowne złorzeczenia, te smutne jęki Lelii, wtenczas zrozumie, że to nie jest li romans, jak Hamlet, nie jest utworem li na scenę. Zapomnijmy związku wypadków, słuchajmy tego ciągłego głosu, który wychodzi z zlodowaciałych piersi Lelii, bez zmienienia jéj twarzy zawsze równo przerażającéj bladości, poznamy, że to jest krzyk naszego wieku, który leje łzy gorące, pod powierzchownością śmierci i obojętności.

Teraz przejdźmy wydatniejsze osoby téj powieści.

L e l i a, ta wybijająca figura, która prawie sama stanowi główny rys w romansie, bo inne zdają się jakoby tylko cieniami, żeby ją widoczniejszą uczynić, jest ostatniém słowem skeptycyzmu, uosobieniem żądz nieskończonych z siłami mającemi granice, z pragnieniami boskiemi w sercu człowieka. Jest ona męczennicą, że wyrosła uczuciem nad innych; grzeszy téż w niém, bo jéj brak w około téj miłości, jakiéj ideał pojęła, i marnuje je jako człowiek opływający w dostatki, niemający nikogo coby się z nim podzielił.

S t e n i o, nikczemnik, godzien więcéj odrazy niż litości. Z tém wszystkiém jest to figura rzeczywista, prawdziwy obraz młodzieńca, rozbijającego się z całą zaczarowaną łatwowiernością o niewiarę wieku. — A T r e n m o r, czyż możemy przypuścić, że autorka poszła szukać cnoty na galery? O nie! ona nam w nim maluje siłę bez zapału, wolę która zwycięża wszystkie namiętności, a że to chciała ukazać żywiéj,

*) *Lettres d' un voyager. Jugement de l'auteur de Lelia.*

bardziéj wybijająco, ukazała nam go najpierw w zbrodni, z któréj się tą potęgą woli dźwigał. Dziwném jest tylko, że on idzie oczyszczać się na galery, jak gdyby wstąpienie w drogę cnoty niebyło najistotniejszém zaspokojeniem społeczeństwa. Takie zaś oczyszczenie rozumiemy jako ironią teraźniejszego prawodawstwa, gdzie kat jest najwyższym nauczycielem moralności.

Pulcherya, ta siostra Lelii, ten zbytek materyalizmu obok duchowości, jest stworzoną dla budzenia odrazy w tych, którzy w téj figurze symbolicznéj potrafili tylko dostrzedz kształty powierzchowne, a nie istotę myśli, jakiéj jest wypowiedzeniem.

Lelia w pracach George Sand, to koniec epoki walki niepewności i rozpaczy, a przejściem do spokoju i zaufania. W następnych dziełach widzimy ją dążącą ku celowi z równym zapałem, lecz już z zaufaniem w ludzkość i ze spokojnością. Ten pierwszy okres zapału i walki musiał za daleko posunąć doktrynę autorki, bo wstąpiła na to pole z całą rozdartą duszą, z całém uczuciem kajdan, które ciężyły jéj i innym. Nim się więc zimno zastanowiła i zrozumiała jasno to złe, jego przyczyny dalsze i sposób zaradzenia temu, zdawało jéj się, iż dość jest uderzyć śmiało w formy, po za które się chowa, aby dojść do urzeczywistnienia wzniosłych idei, które nosiła w duszy. Lecz wywiedziona z tego błędu — i w powieści „Jacques“ już widzimy, że pojęła swoje przeznaczenie wyjątkowe, i przekonała się: że nie wszyscy są stworzeni do zrozumienia bezpośredniéj prawdy, płynącéj z myśli Boga w łono ludzkości; a te istoty, które się rodzą aby ją od razu pojęły i ukochały, muszą jéj promień zwolna rozszerzać, aby nagle ukazany nie przestraszył i nie olśnił tych prawdziwych synów ziemi, nazbyt do niéj przykutych. Zrozumiała więc tę walkę przyszłości z przeszłością, któréj czas obecny służy za pole zwycięstwa do dalszego postępu prawdy, do rozwijania wiecznéj piękności. Jéj zapał już nie jest tak ognisty, bo ta wiara, iż jéj ideje natychmiast mogą być urzeczywistnione, uleciała. Dostrzegła: iż one muszą stać się myślą ogólną, potém przekonaniem, i dopiero w życie wchodzą.

Jaki też smutek wieje w jéj Jakóbie, jaka bolesna rezygnacya na wszystko; już się nie odwraca bez nadziei od tego społeczeństwa, nie złorzeczy mu, a choć go jakiém jest nie przyjmuje, ale mu się poddaje. Bo kiedy Jakób ujrzał się wrzuconym w tysiące drobnych nikczemności, któremi człowiek dokupuje się nieraz spokojności i dobrego mienia, przeniósł śmierć nad takie skalanie życia. Rozwiązanie pełne boleści i melancholii, jak cała powieść, w któréj czujemy jeszcze złamaną duszę Lelii i rozciągniętą zasłonę żałoby, pod którą dyszy rozpacz nie całkiém uspokojona. Lecz jeżeli rezygnacya, co przebija w Jakóbie, napełniona goryczą, jest ta powieść zawsze pierwszém wyrażeniem innego, obszerniejszego okresu autorki, gdzie siła myśli zaczyna równoważyć uczucie bez jego nadwerężania. Jakób i Fernanda zaślubieni z samego początku, a gdyby ona była przyniosła wzniosłość harmonizującą z jego, wtedy ich szczęście byłoby zupełném. Choć Jakób jest ideałem, a Fernanda istotą bardzo pospolitą, jednak w tém przeciwieństwie, w téj ciągłéj walce, on ideał już się nie oburza przeciw niedoskonałości ludzkiéj, i nie pragnie zmieniać świata, żeby w nim żył, jak to marzyli Benedykt i Lelia. Zezwala, aby cierpiał sam, aby sam był ofiarą swoich wzniosłych żądań, poddaje się z odwagą smutną, ale razem spokojną, i woli umrzeć dla swego ideału wiary małżeńskiéj, niżeli zezwolić na jego wyparcie się. Ale ta jego śmierć jest heroizmem bez żadnego skutku, bo niezrodzonego z siły ducha, ale jeszcze z boleści.

George Sand po tych męczarniach serca, musiała nakoniec pomyślić: zkąd to złe pochodzi? jak temu zaradzić? Lelia i Jacques musiały zrodzić Spirydiona i Le compagnon du tour de France. Bo jak jedna chwila w życiu człowieka nie jest całém życiem, tak i jedno dzieło autora należy uważać jako oderwanie całości.

George Sand wstępując w obszerniejszy widnokrąg, widzi, że wszystko jak w fizycznym tak i w moralnym świecie wiąże się w jeden łańcuch: familia, religia, cały skład społeczeństwa, jest tą samą i nierozdzielną całością. I uczuła brak słońca duchowego, coby to wszystko rozjaśniał, rozgrzewał, bo bez niego pusto i próżno w około; uczuła brak religii — religii, któraby ogarnęła wszystkie warunki życia, któraby mu przyświecała w każdéj chwili i była stosowną do wysokości, na jaką duch ludzki wstąpił. Takie jest tło Spiridiona, jak nam to ukazuje w owym manuskrypcie, szukanym przez cały pierwszy tom. Nie stwarza ta autorka żadnych nowych dogmatów, ale jak zawsze idzie w kierunku swego przeznaczenia, upowszechniając w łatwéj i powabnéj formie te, które jako materyał znoszą potężniejsze umysły do téj wielkiéj budowy w przyszłości. Ci starzy zakonnicy, energiczni, silni, uczeni jako ludzie ośmnastego wieku — a Angel, ten czysty nowowierca, dawniéj tak gorliwy katolik i tak łatwy do odarcia jéj z uroku na pierwszy promyk nowéj wiary, nie jestże wyobrażeniem naszéj generacyi? Na zakończenie zaś dzieła mówi autorka temi słowy: Odstąpcie od przeszłości, ona

umarła — a zwróćcie się ku przyszłości, pełnéj życia, i nie starajcie się daremnie czczemi widziadłami zakrywać próżni serc waszych!

W téj powieści myśli filozoficzne są podane czytelnikowi w wdzięcznéj barwie poezyi, i te dwie strony ducha złączyły dłonie idąc ku jednemu celowi.

Jakże mamy powiedzieć: Spiridion jestże bardziéj poezyą czy filozofią? Nie widzimyż tam na każdéj karcie nauki, która nie chce przekonywać ale porywać, nie pragnie oświecać tyko zapalać. Tu myśli filozoficzne stały się uczuciami w duszy poety, i zamiast je wypowiedzieć suchą rozprawą, śpiewa je głosem dziecka liry. Lecz to dzieło nie ma formy utworu lirycznego, wszak to powieść z całym przyborem osób i intrygi? A jednak tam wieje ta tęsknota duszy ku wiecznéj piękności, to wznoszenie się do Boga pełnego dobroci i sprawiedliwości, który jako taki nie ma wybranych wśród ludzi, ale wszystkich jedną miłością ogarnia. Ztémwszystkiém hierarchia społeczeńska stoi z temi pojęciami w sprzeczności — jest więc bezbożnością.

George Sand jak wszystko, tak i to głęboko uczuła, i proste następstwo, że znów wystąpiła w sprawie uciśnionych, jak to późniéj czytamy w wzniosłéj i cudnéj powieści: „Le compagnon du tour de France.“ Jéj czująca dusza niezdolna się zamknąć w kole egoistyczném, gdzie témi słowy: „czekaj z rezygnacyą“ zatracają się najświętsze pojęcia o sprawiedliwości Bożéj. Rezygnacya wtedy tylko jest cnotą, jak wszystkie inne sposoby już wyczerpnięte; owszém świętym obowiązkiem łamać przeszkody, tamujące drogę ku zdobyciu obszerniejszego szczęścia społeczeństwa. Lecz ludzie, którzyby radzi świat zamienili w martwy, nieporuszony, a każdą odmianę, każdy postęp, uważają jako krzywdę im wyrządzoną, ci drzą na rozpacz wieszczów, na te myśli boskie, płynące pod nad światem, które jedni promieniem myśli, a drudzy przeczuciem pojęli, i podali w pięknéj formie prostaczkom braciom. Tym ludzkim automatom, tak lubo w tym drzemiącym stanie, tak im spokojność konieczną, żeby chcieli na wieki wszystkich uśpić, byle téj cichości nic już nie przerwało. A jeżeli krzyk bólu z ludzkich piersi wypadnie — przestraszeni wołają co sił starczy: że to szaleńcy, zbrodniarze. Wszystko to daremnie! Posłuchajcie tych wieszczów i tych ludzi promiennych myślą Bożą, wszak to prorocy dni naszych! Oni wam ukazują błędne położenie, w którém zostać pragniecie! — oni was chcą przywołać do życia!

Ale wróćmy do przedmiotu. Nim przystąpimy do powieści „Le compagnon du tour de France“, przejdziemy niektóre dzieła George Sand, które choć w spoględzie społecznym nie odsłaniają obszerniejszych stron, lecz są dopełnieniem jéj prac literackich.

Po powieści „l'Uscoque“, tak pełnéj fantazyi, w któréj żywo jaśnieje bogaty w obrazy talent piszącéj, zwraca uwagę Simon. W téj powieści napisanéj ze spokojném, przezroczystém choć głębokiém uczuciem, widzimy serce napełnione religijnością, płynącą z silnego przekonania, widzimy miłość kochanków nie bolesną i zdeptaną jak w „Indianie“, ale miłość rozpalającą iskrę ku wyższym ogólniejszym celom, dającą potęgę ducha. Któżby nie poznał w Fiammie płomiennego uczucia Indianki, ale uspokojonego, ale wzrosłego do objęcia całéj ludzkości, a w Simonie urzeczywistnienia takiego ideału, o jakim tam autorka zaledwie śmie marzyć. Jakże ona tu daleka od skeptycyzmu, z jakąż wiarą spogląda w około, bo widzi, że na świecie nie brak cnoty, nie brak serca, tylko ludzkość wyrosła z instytucyi jak młodzieniec z dziecinnych sukienek, a te wkładane gwałtem ranią ciało. Nie wśród tych znajduje téż cnoty i czujące serca, co stanęli jako stróże, jako właściciele téj zużytéj szaty; ani między tymi, co pragną jaśnieć, nie własną zasługą, ale dawno zmarłych ojców, — lecz je znajdzie wśród prostaczków i między tymi, co choć wzrośli duchem i wiedzą nad innych, ale prostotę serc zachowali.

Z jakąż swobodą i wesołością maluje nam już autorka w dziele „Lettres d'un voyageur“ tę wyperfumowaną żółto-rękawiczkową kastę, która niezdolna uszanować człowieczeństwa z prawdziwéj strony, to jest: serca i myśli. Umie tylko być dumną kolorem swych rękawiczek, wonią włosów, sofą, szalem, koniem i całym magazynem sprzętów; — i ta młodzież, u któréj brak wychowania moralnego i intelektualnego, a za całe bogactwo ducha dają im troszkę ogłady powierzchownéj, przez którą jak przez podarte odzienie wewnętrzna próżnia przegląda. Bez goryczy mówi tu o nich, bo widzi, że ich siły za drobne, zużyte, aby koło ludzkości w biegu powstrzymali. Rozumiemy ją, jeżeli pusty śmiech wybiega czasem na jéj usta, kiedy dojrzy, iż oni na podobieństwo karzełków, postrojonych w papierowe kapelusze, z wąsami węglem pomalowanemi, kije na ramionach, maszerują w takt piosenki najlepszego z nich śpiewaka, i sądzą, że mają tyle poważne miny, co ich atletyczni ojcowie, że każdy ich się zlęknie — a ich się lękają tylko.... ptaszki siedzące przy drodze.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

— Z Poznania. — „Roku 1845." wyszedł poszyt VIty i zawiera: 1) Setka Bhartriharis'a, przez Leszka Dunina-Borkowskiego. 2) O rozwijaniu się stosunków socyalnych pod wpływem przemysłu i pracy. 3) Jezuityzm odrodzony przez E. K. 4) Rozmaitości.

— Szkoły na Wołoszczyznie. — Pewien podróżny opisuje księstwa naddunajskie i zastanawia się nad ich rządem, bogactwem i oświatą. Co do ostatniéj opowiada: niedaleko od Arshis odwiedziłem szkołę wiejską; były to dwie izby ładne z ławkami i stołami we środku i z czarną tablicą w rogu, owym postrachem chłopców. Wszystko porządne i czyste, jak się należy. A gdzie uczniowie? zapytałem arendarza miejscowego. Ten zapytał dozórcę, gdzie są dzieci, jakby to pierwszy raz go uderzyło, iż do szkoły potrzeba uczniów. Dzieci nie wpuściłem do szkoły, odrzekł dozórca, porznęłyby ławki, potłukłyby okna, a kiedy o szkodę zapyta właściciel, musiałbym wszystko zapłacić. A gdzie nauczyciel? pytałem daléj. A gdzie nauczyciel, pytał arendarz dozórcę. Nauczyciela nie masz; może się jaki czasem zdarzy nauczyciel z okolicy, to też nas odwiedzi. A więc szkołę macie tylko dla pana? rzekłem. Czasem oprócz pana i rewizor szkółek nas odwiedzi z Bukarestu, odparł prostodusznie arendarz. A tymczasem w rocznych sprawozdaniach departamentu oświecenia wołoskiego, (bo i Wołoszczyzna ma swoje departamenta oświecenia) znajduje się napisane: oświecenie i nauki postępują olbrzymim krokiem we Wołoszczynie, — i tak długo powtarzać to będą, aż Wołochowie zapomną pisać.

— W St-Etienne pokazywano niedawno temu proby szkła ciągłego. Jest tak jak kryształ przezroczyste i może być jak metal nawijane. Nazwano je silicon. — W Anglii zaczynają pokrywać dachy kamienic mocném szkłem, jest to nowe, tanie, i piękne odkrycie.

— Dla czego nazywają ostatnie miejsce w teatrach Paradyżem? Menzel odpowiada na to w swém piśmie literackiém: Paradyż nazywał się dawniéj przedsionek kościołów, na którego sklepieniu był odmalowany upadek w pierworodnym grzechu. Tu stać musieli grzesznicy i nieochrzczeni, zanim przypuszczeni zostali do saméj świątyni. To nazwisko przeniesiono z kościoła na teatr.

MODY.

Paryż, dnia 13. Lipca 1845.

Między ładnemi nowościami, spostrzegliśmy o te czasy szlafroczek z niebielonego batystu, biało haftowanego. Inne tego rodzaju opatrzone są w zielony lub lilijowy haft. Niektóre z tych szlafroczków były otwarte z przodu, mając suknię spodnią z pięknego perkalu, zdobną czterema rzędami bufkowanego batystu. Stanik otwarty, z wyłogami płasko przystającemi. Rękawy obcisłe z haftem u rękawa górnego, część dolna z wyłogiem ohaftowanym.

Taki ubiór szczególniéj do wód przeznaczają, równie jak szlafroczki z jedwabnego płótna, opatrzone w małe wyłogi. Z przodu szlafroczki zapinają na guziczki ze słoniowéj kości, na których widać wyrabiane małe kwiateczki. Pod stanikiem otwartym widać półkoszulcze batystowe haftowane, ułożone w małe fałdy.

Za temi idą suknie na wyjście, np. piękna suknia z włoskiéj kitajki, w paski lilijowe, z szerokiém liściem. Blisko bioder poczynają się falbany. Stanik jest gładki i ze sznepką. Rękawy obcisłe i dosyć krótkie u ręki, tak że wyglądają z pod nich podrękawki haftowane. Lub też noszą szlafroczek z zielonéj lśniącéj kitajki w białe paski, który ma stanik u ramion we fałdy ułożony, schodzące się u przepaski. Rękawy są obcisłe, u ręki opadają koronki walencianskie w dwa rzędy.

Na wieczory noszą suknie z tak lekkiego tarlatanu białego, że staniki u nich wyglądają à la vierge; suknie z indyjskiéj organtyny obrzeżone złotem lub niteczką złotą bramowane, ujmują w wielkie kamee starożytne; suknie z różowego, zielonego, niebieskiego tulu z potrójną w ząbki wyciętą powłoką, tak lekko i ujmująco wyglądają, iż kiedy poruszeniami w tańcu unoszą się, zdaje nam się, że widzimy ulatujące Peri w obłokach. Staniki fałdowane znów się podobają z powodu nowych przepasek i sprzączek.

Objaśnienie ryciny.

1) Kapelusz krepowy, ozdobiony koronką. Suknia bareżowa, orzucona falbanami.
2) Kapotka krepowa, zdobna kwiatami. Suknia muślinowa, oszyta koronkami.
3) Frak podług najnowszéj mody. Kolorowy krawat. Kamizelka pikowa. Pantalony w pasy.

Redaktor: *N. Kamieński.*

Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*